Zylbersztajn Cedry Libanu
Nowelka

CEDRY LIBANU.

NOWELKA
NA TLE STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH.

Skreślił
NATAN ZYLBERSZTAJN
z Wiślicy.

WARSZAWA, — 1906. NAKŁADEM AUTORA.

CEDRY LIBANU.

NOWELKA
NA TLE STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH.

Skreślił NATAN ZILBERSZTAJN z Wiślicy.

WARSZAWA.
Druk Braci Thiell, ul. Mylna № 7.

1906.

Дозолено Цензурою.
Варшава 2 Октября 1905 г.

Dla uczczenia pamięci drogich rodziców moich

CYNY z KOHENÓW i ANSZELA ZYLBERSZTAJNÓW

pracę moją

poświęcam

Autor

CEDRY*) LIBANU.

Jeśli cedry Libanu ogniem płoną,**)
Zaiste, jak szybko zmarnieje żywopłot.

Było to w Warszawie, w jednym w ostatnich dni długiej i uporczywej zimy, roku przestępnego 188...

Wieczór był ponury, z dachów spadały resztki śniegu, — z rynien obficie ściekała woda, na chodnikach było ślisko, na ulicy pełna przejmująca odwilż...

Przy zapaleniu latarni na ulicach roiło się od publiczności jak zwykle, i młoda osoba mogąca mieć od 20—25 lat, miłej powierzchowności wyszła z domu przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej, szła prędko, trzymając pod pachą małą safianową teczkę

*) Cedr oznacza moc, nieugiętość. Hebrajczycy rozumieli pod wyrażeniem „erez“ wszystkie drzewa iglaste. Psalmy Dawida apoteozują rozrost cedru jako obraz sprawiedliwego. X. M. Godlewski.

**) Im bearuzym noflu szałhewes, ma jaassi ajzowaj hakir. Midrasz.

i znikła w jednej z bram obok położonej ulicy Nowozielnej.

W jednym z obszernych salonów zajmowanych przez rodzinę Bachmanów, a mieszczących się na pierwszem piętrze odbywały się kilka razy tygodniowo zbiorowe wykłady z dziedziny fizyologii, histologii, matematyki, nauk przyrodzonych, ekonomii politycznej, literatury porównawczej i humaniory w ogóle.

Na wykłady te zbierały się młode osoby, które ukończyły gimnazya przeważnie koleżanki i towarzyszki lat dziecinnych.

Rodziny tych panien od wielu lat były ze sobą w ścisłej znajomości i grupowały się obok tych samych przekonań i dążności.

Przyznać należy, *że to ugrupowanie i ta zażyłośc bynajmniej nie były zależne od majątku rodziców ani od ich zajmowanego stanowiska* jak to niestety ma miejce w życiu towarzyskiem u nas, które zwykle normuje się cyfrą, zajmowanem stanowiskiem i drugimi względami nieokreślonej natury.

Nie wypada naprzykład dla panny Abend, której ojciec handlował galanteryą, a obecnie jako kapitalista *skromne robi dyskonta*, aby bywała u koleżanki panny Morgen, stokroć od niej zdolniejszej, lecz niestety ojciec jej dziś dopiero handluje galanteryą i trudno przewidzieć, czy kiedykolwiek dojdzie do kapitału i *praktykowania takiego skromnego dyskonta*, jakiem się dziś ojciec panny Abend zajmuje.

Nie wypada również, aby córka lichwiarza Nehmera, mogła bywać u córki prostego buchhaltera Gebera, który często zmuszony od pierwszego pieniądze pożyczać, i za takowe grube płacić procenty.

Nie wypada również, aby córka pokątnego doradcy i wyzyskiwacza, który na wyłudzeniu cudzego grosza majątek zrobił, powtarzam nie wypada, aby panna Szwyndelkop bywała u córki biednego nauczyciela Nothungera, chociażby dlatego, że ten ostatni całe życie pracuje i jest wyzyskiwanym.

A teraz czystą herezyą jest aby panna Fajnkuchen przyjmowała byle kogo. Gdy składy i fabryki jej rodziców niejednokrotnie się paliły i sute każdym razem odbierali wynagrodzenia pogorzelowe, garściami czerpali złoto z różnych źródeł, aż grubo i tłusto uróśli i nawet w Towarzystwo Akcyjne się zamienili.

Czyż wypada powtarzam, aby ich córka nie szanowała się i nie umiała nadać sobie tonu odpowiedniego, i nie zadzierała nosa do góry*) jak to wzdłuż i wszerz, niestety, w tych uprzywilejowanych sferach głupim jest zwyczajem...

---

*) *W kwestyi zadzierania nosa do góry*, i zbijania takowym kasztanów niedojrzałych z drzew w Saskim ogrodzie (szczególniej w końcowych ławkach alei literackiej), musimy dodać, że nasza arystokracya chorująca *na wyższe niby ukształcenie* i mając już w swem drzewie genealogicznem grubszych lichwiarzy entreprenerów dostawców i trochę więcej już spoufalonych z trefną kuchnią, zadzierają nos przez binokle i lornjony, mrużą powieki i natrętnie z arogancyą mierzą przechodniów, co wywołuje rozszerzenie źrenic i inne choroby oczu tak u nas powszechne, że 90% nosi binokle lub okulary... Arogancyę tą spotykamy nietylko w Saskim ogrodzie, lecz na wyścigach, koncertach, szwajcarskiej dolinie, na zabawach, zebraniach i t. d. Śmiałbym się do rozpuku z tego, jakto wielu czyni, ale jestto niestety nasz garb, który tak ciężko i żałośnie przychodzi nam znosić, że doprawdy prędzej mi się zbiera na płacz, jak na śmiech pusty...

To przecie niby nasze asy... A jakże...

Ale powtarzam, że w towarzystwie o którem mowa tych wszystkich nie czyniono skrupułów..

W osobie, która tak spiesznie dąży na zbiorowe lekcye, poznajemy pannę Adelę Tarnower, koleżankę i przyjaciółkę lat dziecinnych Idy, starszej córki Bachmanów.

W Bernie (w Szwajcaryi), dokąd na dalsze studya wyjechały, mieszkały na jednym pensyonacie, uczęszczały do tamecznego uniwersytetu i po chlubnem ukończeniu takowego otrzymały dyplomy z odznaczeniem bakalarek chemii i nauk przyrodzonych.

Po powrocie do Warszawy, i po wzajemnem porozumieniu się z rodzinami, urządzały, jak już wyżej wspomniano, zbiorowe lekcye, na które zbierała się młodzież najbliższych znajomych i krewnych obojga rodzin.

Wykłady prowadziły obie koleżanki naprzemian, a że dziś kolej przypadała na Adelę, widzimy ją też spieszącą, nie chciała bowiem opóźnić rozpoczęcia zbiorowej lekcyi.

W salonie gdzie wykłady się odbywały mieściło się pianino, stół mahoniowy, garniturek mebli i kilka krzeseł.

Nieopodal stolik hebanowy misternej roboty, na którym rozrzucono kilka książek, album z fotografiami, koszyczek do kart wizytowych, kilka kartek białego papieru i ołówki zatemperowane widocznie do robienia uwag i notatek podczas wykładów.

Na ścianach było kilka akwareli i sztychy obrazowe ręcznej roboty, a z boku przy pianinie staluga z rozpiętem płótnem, na którem kolorowy papier

przypięty pluskiewkami zakrywał jakoby rozpoczętą robotę.

Do tego skromnego saloniku właśnie wchodzi Adela, serdecznie i króciutko wita się z towarzyszkami, zajmuje swoje miejsce, prowadząc zwykły wykład, który dość późno się pociągnął, bo pani Bachman, przeprosiwszy bardzo uprzejmie, zaprosiła do sąsiedniego pokoju, gdzie skromna była zastawiona kolacyjka.

Towarzystwo przy kolacyi zajmowało zwykłe swe miejsca, jak gdyby takowe zgóry były naznaczone.

Obok Adeli znalazł się pan Henryk Bańkowski, Izydor Bachman najstarszy syn i prokurent firmy przy Józefie Mydełko, Teodora Srebrzyńska obok szpakowatego wuja Bachmana, a młodziutka Genia Bergfajn gawędziła swobodnie ze Stefanją Luksenbaum.

Przy gospodyni domu siedziała z jednej strony jej pieszczoszka, a mianowicie najstarsza córka Ida, i kuzyn Chil Fefer.

Największą uwagę zwracali na siebie Anton Bańkowski i Józef Mydełko.

Byłto szatyn średniego wzrostu o wydatnych rysach twarzy, włosy nosił długie, ubranie bardzo skromne, wyrazy wymawiał dobitnie, zdania formował powoli, jakby namyślając się wymawiał takowe z prostotą, lecz nie bez pewnej przesady, jakby pozując na uczonego.

Gdy wykład dzisiejszy omawiał krótki zarys antropologii etnicznej (porównawczej) i przy herbacie jakby w dalszym ciągu przedmiot prowadzony w tym kierunku przeszedł na temat uspołecznienia izraelitów grupami etnicznemi, tak że gawęda przy wieczerzy

okazała się niezmiernie zajmującą, mając bogaty temat i sporo materyału, zajmowała też uwagę wszystkich gości, a nawet kapotkowy kuzyn Chil Fefer z wielkiem natężeniem przysłuchiwał się rozmowie, a nie mogąc ukryć swych wrażeń, jużto bębnił palcami po stole, jużto kiwał głową znacząco, głaskał swą małą rudawą bródkę, a chwilami nawet gryzł końce takowej. *)

Główne poglądy i zdania rozdzielały się: I tak Henryk Bańkowski twierdził, że tylko zupełna assymilacya jest jedyną drogą do równouprawnienia, — alfą i omegą zupełnego zlania się społecznego i zakończenia raz na zawsze kwestyi żydowskiej jako takowej, którą uważa, ze swego punktu widzenia, za szpetotę społeczną (Monstrum).

Judaizm jest wyznaniem, a nie żadną frakcyą społeczną lub narodowościową, twierdził amfatycznie pan Józef Mydełko, stwierdzając tem zdanie swego kolegi.

Żydzi, utraciwszy swój byt polityczny, — zeszli z widowni narodów. Judaizm, **) jako wiara, w dobrym i szlachetnym pojmowaniu, — opromieniony ja-

---

*) Jestto nawyknienie nabrane z chederu, od którego trudno się odzwyczaić, — a wreszcie grymasy te nikomu w rzeczy samej nie zawadzają, — i o ile się sam człowiek nie stara, nawyknień tych zastąpić zapożyczonemi formami, nikogo stanowczo nie rażą, razić nie powinny. „Bądź,—jakim jesteś,—i nie małpuj tych, co inaczej się uformowali.“

**) Autentyczne i prawie dosłowne twierdzenie jednego z wyższej naszej inteligencyi, — który w kilka lat później przeszedł na inne wyznanie, — co dowodzi, że między frazesem a faktem różnica o cały fakt.

snością i prawdą musi sobie zdobyć poszanowanie i odpowiednie stanowisko, — jako pierwsza religja monoteistyczna.

Ida Bachman cytowała złośliwie mnóstwo, według jej rozumienia, argumentów, że assymilacya w naszych warunkach życia jest utopią, — ideałem niedoścignionym...

Syonizm znów według jej twierdzenia może dać Izraelitom zabarwienie, jakiś odcień narodowościowy, urojony pierwiastek patryotyzmu, jakieś coś, co dotychczas nie posiadamy, i to coś da nam jakąś specyficzną, jakoby narodową, indywidualność...

Między innemi zarzutami, Ida piętnowała ten fakt, że pewna część społeczeństwa, która sama tak bardzo zalicza się do klasy przedniejszej (ba nawet bardzo się zaliczają), nie umie, czy też nie chce opanować i zastosować się do tego miłego i zbawiennego środka „juste milicu“ i w swym pędzie assymilacyjnym za daleko się posuwają.

Frankiści, co w swoim czasie tyle wrzawy narobili, przeszli ostatecznie na łono innych religii. Obecnie fałszywy prąd assymilacyjny przeniósł na łono innych wyznań mnóstwo osób, któreby z większym pożytkiem mogli szczepić oświatę między zastojnemi braćmi...

Co do samej manii assymilacyjnej, to ona właściwie jest mimo to powierzchowną i nikłą w tychże sferach. Opiera się na sofizmatach i pewnej dozie arogancyi, niby w karmazynowe przebranej szaty jak: wysyłanie koni na wyścigi, drapanie się gwałtem do salonów arystokracyi, a kontusz ten mimo zamaszystej fantazyi, noszony jednak natrętnie, „i bez smaku

i gustu" nie zastąpi nigdy poczucia obywatelskiego i raczej przeszkadza, niż pomaga idei assymilacyi...

Chil Fefer, który z wytężoną uwagą przysłuchiwał się rozmowie, prosił o pozwolenie wyjaśnienia swych zapatrywań w tej mierze, a otrzymawszy potakującą odpowiedź zebranych, Chil wyprostowany, z twarzą promieniejącą jakby w natchnieniu, tak zaczął:

— Zdaniem mojem uobywatelnienie leży w nas samych. Albowiem chcąc osiągnąć pewnych ustępstw, ustępujmy, chcąc zyskać szacunek bliźnich, szanujmy tychże bliźnich, nie chcąc znosić krzywd i prześladowań, nie krzywdźmy naszych bliźnich, nie urągajmy ich ideałom, nakoniec, nie chcąc być wyzyskiwani nie wyzyskujmy ni praw, ni własności cudzej.

Tylko takim sposobem stopniowo szacunek wzajemny wytworzy się w życiu naszem rodzinnem i obyczajowem, harmonja i zobopólność z łączy serca, umysły i dusze.

Pracujmy więc nietyle głową co sercem, nietyle nauką co natchnieniem, cnotą i przykładem, *nie frazesami* lecz *czynami* i *postępkiem* osiągniemy bez urągań, bez namiętności, co nam się słusznie należy.

Jeśli arogancyę rzucimy, wzgardzimy pychą i rzetelną dłonią chwycimy za pług, za radło, sięgniemy za wytwórczość, za przemysł, nikt nam zaiste dróg naszych hamować nie będzie...

Zakwitnie przemysł, łany zazielenieją i zapanuje uśmiech ubłogosławienia i braterstwa...

I wyraz pogardy zniknie i piętno rozdwojenia i nienawiści wzajemnej, bo znikną ślądy występku i łez, a nastanie zaranie życia pracy i rzetelnego postępu.

Równouprawnienie daje się zdobywać tylko czynami prawemi, moralnością osobistą, a do tego żadne nas nie doprowadzą akademje, lecz zdrowy rozsądek, szczere zamiary, uczciwe i jasne postępowanie.

Huczne oklaski wymowną były odpowiedzią na pełne zapału przemówienie pana Chila Fefera.

Jedna tylko osoba nie klaskała, bez tchu prawie śledziła każdy wyraz, każdy ruch mówiącego, oczy jej utkwiły w szlachetne jego oblicze i dwie duże przezroczyste łzy stoczyły się po jej sympatycznej i oryginalnej twarzy.

Osobą tą była Adela Tarnower.

Czy i nasz bohater widział ten smętny wyraz twarzy, czy i on odczuł to tchnienie Boże, które owionęło ich dusze uroczem marzeniem, czy i jego ogarnął ten żar święty, którego iskry zadrgnęły jednocześnie w ich sercach i złotą a promienną aureolą, jakby nadziemskim powabem, czoła ich opromienił, nie wiadomo, i pozostanie to zagadką... jak zagadkową była smętność Adeli, jak świętą i cudną łza jej promienna, która jak kropla rosy osiadła na brzasku jutrzni Chila, i dusze ich splecione w jednem westchnieniu zdawały się wzlecieć w wyższe sfery i tam u stóp Przedwiecznego Iehowy żebrzące litości i miłosierdzia dla swego ludu, dla swej wiary...

* * *

Gdy postać Chila Fefera jaśniej się zarysowuje, musimy nieco bliżej się z nim zapoznać.

Ojciec jego reb Joel Fefer był rodzonym bratem Joachima Bachmana.

Jak różne były nazwiska braci, tak zmienną była tendencya życia, wygląd ich zewnętrzny i cały kierunek ich domu.

Reb Joel Fefer stał na czele partyi konserwatywnej o pewnym nawet odcieniu chasydyzmu. Pojęcia jego religijne stały na twardym gruncie rytuału, i na żadne uchylenia, ustępstwa i kompromisy gminy w kwestyi oświaty i postępu zgodzić się nie chciał, i trzymał się od takowych zdala i negatywnie.

Jego przekonania bowiem, powtarzamy, były ustalone, mawiał że w kwestyi wyznaniowej półśrodków niema, i to jego „non possumus“ było niewzruszone, odbijało się też harmonijnie w całej jego rodzinie i wychowaniu dzieci.

Jakkolwiek argumentom jego można nie jedno było zarzucić, ale przykro bo jest patrzeć jak lekceważąco odnosi się pewna sfera u nas, tak zwanych postępowców do wszystkiego, co od wieków jest szanowanem jak naprzykład, wstydzą się nosić tałesy pod pachą, w pięknych jedwabnych owinięciach, lub książkę od nabożeństwa, gdy wracają z synagogi, gdyż to zdradza ich pochodzenie, a właściwie wyznanie.

Natomiast z wielkiem uznaniem wypada naznaczyć, że u ludności rdzennej widzimy osoby najlepszych rodzin towarzyszący pochodom tryumfalnym przy procesyach i obrządkach kościelnych, co się uważa za najwyższy zaszczyt.

Zaiste śmiesznem jest raczej, jak niedowarzony nieraz dryblas, nieumiejący trzymać się na lichej szkapie w ubraniu trefnisia, wałęsa się między wykwintne-

mi szpalerami alei ujazdowskich, drażniąc smak i humor spokojnych spacerowiczów, naraża się niejednokrotnie na śmiechy puste i błaznowanie.

Boć nikt nikomu u nas nie wyrzuca jego indywidualnych manier jeśli takowe istnieją, i z pewną sferą jakby się zrosły; lecz z drugiej znowu strony, podchwytywać maniery wielkopańskie a vol d'oiseau i takowe z fantazyą naśladować jest głupie i bezsensowne...

Jestto prawie to samo, co na obrazie Madonny Rafaela szczegół jakiś malowidłem zastąpić. Jaskrawa różnica razi i obraz szpeci...

Trzeba sobie wyrobić maniery, takowe z wychowaniem stopniowo przywłaszczyć, ale nie łapie się w powietrzu od osobników do których ani wychowaniem, ani tradycyą, ani rangą społeczną nie możemy się zrównać, póki nie dościgniemy ich warunkami etycznemi, wychowaniem, uobyczajeniem i innemi względami kultury i uspołecznienia...

* * *

Wracając do naszego reb Joela to tenże ożeniony mając lat siedmnaście z Zofią Lewenhertz ze Lwowa, żył bardzo bogato i szczęśliwie i zdawało się, że nic jego spokoju nie zamąci...

Pani Zofia należała do bardzo bogatej rodziny.

Wychowana troskliwie i bogobojnie ukończyła we Lwowie gimnazyum i wyższy zakład naukowy żeński z odznaczeniem, miała dystyngowane obejście i poglądy na życie proste i jasne

Jakkolwiek i rodzice Zofii należeli do partyi zacofanej t. j. ortodoksów Lwowskich, — jednak przy kształceniu dzieci, nawet zacofana klasa izraelitów nietylko we Lwowie, ale w małych nawet miasteczkach chasydzi posyłają córki do szkół, ubierają je modnie i nawet strojnie i niczem zgoła pozornie nie różnią się od panienek i rówieśnic innych religii.

Dość często natrafiamy w podobnych rodzinach brata i siostrę, których ukształcenie, wychowanie i etyka są tak różne jakby należały do innych wieków i innych zgoła stosunków życiowych...

To też nic dziwnego, że córki Joela Fefera pokończyły gimnazya i kształciły się później razem z dziećmi postępowych krańcowo Bachmanów pomimo tego, że oficyalnie u siebie nie bywali, gdyż bracia wprost przeciwne mając o wszystkiem pojęcia, wszelkie stosunki zerwali, trzymając się zdala, — prawie niedostępnie.

Gdy pytano reb Joela o przyczynę takiego rozbratu, wyprostował się, pogłaskał zamaszyście swą szeroką rudawą brodę i odpowiadał z powagą:

— I patryarcha Abraham rzekł do brata swego Lota, podnieś oczy i wybieraj na prawo albo na lewo. Jeśli wybierzesz jedną, ja w drugą stronę swe kroki skieruję i dla mej rodziny i obowiązków będę prosił Wszechmocnego, który użyznia jedną i drugą okolicę, — wszędzie i zawsze *jednakowo* nad naszą czuwa niedolą.

Lecz—dodał z coraz wzrastającym zapałem,—gdy po zupełnem już rozstaniu i rozdziale giermek doniósł Abrahamowi, że brat jego Lot znajduje się w niewoli, że mienie jego i byt zagrożone, wtedy to

bez najmniejszego wahania i namysłu uzbroił Abraham swych hajduków, — a zostawiwszy rodzinę pod opieką sług swoich i poleciwszy ją opiece Boskiej biegł na pomoc zagrożonemu bratu.

Więcej objaśnień od niego nie można było wydobyć...

Wszystko tedy szło gładko po utorowanej drodze, ale jak niema w przyrodzie słońca bez cienia, rzeźwości bez tęsknoty pewnej, tak i życie nasze nie może być jednostajnym jakoby strumykiem, którego fale brzęczą szmerem jednakowym; ani też umajonem pasmem łanów wiążących się w nieskończone arabeski na tle zieleni, gdzie naprzemian krzyżują się w przestworzu orzeźwiające i balsamiczne tchnienia zefirów i radosne trele ptactwa, które świergoce bezustannie jakby pienia dziękczynne do Stwórcy...

Tak i w rodzinie Feferów zaszły zmiany, które powoli zmieniły kierunek i tendencyę całego domu i na inne zgoła poprowadziły tory...

Już w chederze nasz Chil okazywał wielkie zdolności, — i przełożony chederu przepowiadał zgóry, że przewyższy swego rodzica nabożnością i cnotą. — O ile się ta przepowiednia sprawdzi, okaże się w dalszym ciągu naszego opowiadania.

*

* *

Joachim Bachman zaliczał się do największych firm w Warszawie. Był właścicielem kilku nieruchomości, które kupił bardzo dogodnie, niektóre prze-

2

budował, upiększył inne i w jednej z nich sam z dziećmi i ich rodzinami zamieszkał. Kantor mieścił się na parterze urządzony z komfortem i podług najnowszych wymagań.

Pan Joachim był administratorem kilku cukrowni, w których posiadał w akcyach udziały na znaczne summy. Interes jego prosperował, dywidendy i kapitały powiększały się, wzrastało również z roku na rok zaufanie, tak jego mocodawców jak i publiczności.

Przyznać przytem należy, że interes wzorowo był prowadzony, pan Joachim starał się bowiem zawsze o dobrych współpracowników, których wybierał starannie i sumiennie oceniając ich zasługi, bez różnicy wyznania i narodowości, oraz innych względów prywatnej natury. Dla tego też panowała zupełna harmonja w całym personelu kantorowym, poważny i miły nastrój, a pan Joachim jako szef biura, prędko zyskał sobie szacunek i poważanie swych pracowników.

Zajęcia biurowe były tak podzielone, że każdy miał swoją specyalną czynność, klienci bez straty czasu byli obsłużeni, gabinet zarządzającego również nie był zamykany na siedmnaście spustów, lecz interesanci pzzyjmowani i obsłużeni uprzejmie i z właściwą godnością, — co również niemało przyczyniło się do rozwoju firmy, jej popularności i powodzenia.

Przytem i dla analogii nie od rzeczy będzie nadmienić, — że panowie klienci *nigdy* nie byli traktowani z tą znaną arogancyą i grubiańskiem napusze-

niem, która tak silnie, niestety, i odpychająco daje się we znaki u pewnej znanej u nas sfery dorobkiewiczów...

Ci panowie bardzo prędko zapominają o przyzwoitości i elementarnych zasadach ugrzecznienia, (tak niezbędnych w stosunkach handlowych i towarzyskich) i występują tak brutalnie nieraz, — że doprawdy dalekoby lepiej uczynili spożywać skromnie i cicho swe zdobyte renty i spoczywać na zdobytych lub oddziedziczonych laurach, — jak występować na arenę publiczną w charakterze przedsiębiorców i domów handlowych, gdzie ich postępowanie z ludźmi i najbliższem otoczeniem budzi wprost wstręt i obrzydzenie...

Przykro bo, że i u nas takie są karykatury społeczne, które męczą siebie i drugich, narażają swem postępowaniem własne rodziny na tysiączne nieprzewidziane wprost, i dziwne swą treścią, niespodzianki i przykrości, — oraz bliźnich i klientów, — a to czynią przeważnie dla tego, aby dogodzić swej próżności i fałszywej ambicyi i zamanifestować, że udało im się przedrzeć przypadkiem lub zręcznością na złotą górę zwaną majątkiem lub stanowiskiem, — stanąwszy zaś na niej nie potrafią utrzymać się w należytej równowadze i nie wiedzą, lub nie chcą zgoła wiedzieć, — jak się właściwie do tej nowej roli scharakteryzować...

To też powstaje często zamęt w życiu ich wewnętrznem i zewnętrznem, w życiu małżeńskiem i sposobie wychowania i wykształcenia dzieci i unormowania stosunku pracowników i otoczenia.

Istna wieża Babel!...

I cóż dziwnego, że uspołecznienie nasze na tak ogromne napotyka trudności. Gdy poglądy etyczne tych panów i ogólno-społeczne są w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do rozwoju ich ekonomicznego, który nieraz w swym szalonym biegu sięga Himalajów, a pegaz etyki wychowania i normalnego myślenia stoi zadumany u stóp tej góry, ciężko stęka i wzdycha...

Społeczeństwo, jako widz, najśmielszem okiem nie może sprostać, aby uchwycić podnóże tej góry z jej wierzchołkiem i legalne wnioski i arbitraże przeprowadzić, co do moralnego znaczenia tych osobników, ich stosunku lub związku do ogólnej tendencyi społeczeństwa, które się bynajmniej z temi osobnikami nie solidaryzuje.

Wina nieraz takich trutniów i niedowarzonych, a śmiałych pływaków fortuny spada przekleństwem Kaina na niewinne społeczeństwo, które tego wściekłego prądu żadną niestety siłą, ani prawem powstrzymać nie może...

Żaden z tych prometeuszów fortuny nie opromieniony uznaniem, wegetują tylko, otoczeni zgrają pochlebców, przy brudnem korycie i złotej chorągwi, którą sobie za sztandar życia niestety zatknęli.

To też jak powiadam, na szczęście nie wszyscy idą za tym fałszywym prądem, jest nadzieja, że gdy iskra Boża prawości i obywatelstwa uderzy w spiżowe opoki znikczemniałego materjalizmu, takowe rozpadną się jak bałwany pogańskie, i ożywcze światło przeniknie do jądra i treści naszego życia i honorem a godnością dusze nasze opromieni...

Czasy te nie są zbyt odległe, bo ludzkość zmęczona i rozbita zwątpieniem, skołatana męczarnią nicości, sofizmatami wylęgłemi w głowach fantastycznych i sercach próżnych...

I myśl już silniej rwie się pod sztandar wiary ożywczej, — szuka skarbnic uczucia i ideału, u stóp wielkiego Boga żebrze miłosierdzia, natchnienia i reakcyi.

I w dali hen widać już brzaski świtu porannego, zbliżają się ku nam echa śpiewów wesołych i tkliwych, uczucia gnębione i skryte wyłaniają się powoli w wyższe przetwory, okalając tron Przedwiecznego wieńcem świętym i wielkim, bo splecionym z łez rozpaczy i cierpienia całej wyzwolonej ludzkości...

I znów myśl staje się modrą i znów nas otacza tęsknota, ale ta myśl nie jest już rozpaczliwą i beznadziejną,— ta tęsknota nie zamienia się w próżną męczarnię i tortury moralne, — bo talizman wiary, nadziei i miłości pokrzepił nasze serce, rozradował jestestwo, dając nam otuchę i energję do dalszej pracy i wytrwania, miłość dla wszystkich bliźnich nieszczęśliwych i prześladowanych, — poczucie prawości i obowiązku względem siebie i współludzi...

Rozpadł się nareszcie marny ten i zgniły katafalk zwątpienia, a na jego miejsce zielenieje i w całej pełni błyszczy radość, wdzięczność i nadzieja...

Wracając do naszego opowiadania przyznać musimy, że pan Joachim zupełnie inaczej zorganizował swoje biura, inna tendencya panuje jak widzimy w całym systemie pracy i już z góry nabieramy przekonania, że prawdopodobnie zupełnie inaczej się

przedstawi, gdy stosunki normalnie i prawidłowo się ułożą, o czem wreszcie przekonamy się w dalszym ciągu naszego opowiadania.

* * *

Jak już wspomnieliśmy wyżej, przy ulicy Nowozielnej w domu bardzo gustownym, zbudowanym podług najnowszych wymagań architektury, zamieszkiwali od lat kilkunastu, rodzina bardzo zamożna i powszechnie szanowana, Joachimowstwo Bachman.

Rodzina ta zajmowała całe pierwsze piętro pokażnego domu, na parterze zaś mieścił się elegancki kantor, powyżej opisany szczegółowo, na drzwiach widniał zgrabny czysty złocisty szyldzik z napisem

„Dom Handlowy“

Braci Bachman i S-ka.

O przeszłości pana Joachima najsprzeczniejsze krążyły wieści i tak opowiadano między innemi, że najstarszy z braci Joachim założyciel i główny akcjonarjusz firmy utrzymywał ongi na jednej z podrzędniejszych ulic syreniego grodu cheder, który z powodu niezachowania przepisów wymaganych według nowej ustawy szkolnej, bardzo często musiał przeprowadzać takowy cheder z miejsca na miejsce i starać się o nowych bachorów, których widać rodzice nie bardzo mu chętnie dowierzali, mimo jego usilnych dokumentacyi i naocznych dowodów, że mu władza odmawia świadectwa dla błachych i nic nie znaczących formalności.

Jakkolwiek sąsiedzi cichaczem opowiadali, że reb Hersz (dawniejsze imię naszego pana Joachima)

podobno się podpisywać nie umie, przychodzi często podchmielony do domu i skandaliczne sceny urządzał ze swą drogą połowicą i bachorami, ale nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do krążących pogłosek, dość że reb Hersz musiał zwinąć cheder, i znikł nagle z horyzontu Warszawy, która, nawiasowo mówiąc, tak znowu bardzo po nim nie rozpaczała i ani listów gończych ani deputacyi zapraszających nie wysyłała za nim. Złośliwi, a i takich u nas nie brak, opowiadali cichaczem, że podobno niewdzięczne bachory na wieść o nagłem jego zniknięciu z horyzontu Warszawy taką sobie ucztę wyprawili, że kilkunastu wyrostków pieszą odbyli pielgrzymkę do cadyka w Górze Kalwaryi i złożyli mu znaczne datki dla Talmud-Tory, inne ofiarowali na świece dla rabi Majera Cudotwórcy (reb Majer Baał-Nes), a wszyscy ze wzruszeniem i dziecinną iście radością w rozmaity sposób opowiadali w domu o zniknięciu reb Hersza i zakończenia studjów niefortunnego chederu...

* * *

Trudno zaiste określić miejsce pobytu naszego reb Hersza, gdyż on był różnorodny i zawikłany, sytuacye tak się gmatwały, że to wygląda raczej na powiastkę z tysiąca i jednej nocy, — jak na prawdziwe w życiu wydarzenie...

Reb Hersz sprzedawszy swe rupiecie i pobrawszy forszusy niektóre, zebrał gotówki zaledwie tyle, ile mu starczyć mogło na kupienie biletów do Proskurowa (niedaleko Kamieńca), gdzie żona jego miała podobno dostać schedę po swoich rodzicach.

Musimy nadmienić, że żona reb Hersza Łaja Cypa przezwana z litewska Cypełe „die Bułocznice“ była jedną z 9 córek jednego z drobniejszych piekarzy sławetnego Proskurowa i tutaj przed laty poznała się była ze swoim Herszkiem, który był belferem w chederze niedaleko ich mieszkania i jako takowy jadał u nich „Teg“*) zwyczajem odwiecznym chederów na partykularzu.

Pan Joachim żartobliwie przytacza, że na zapytanie czy Cypka ma jeszcze siostry śmiało odpowiedziała: nie.

Później objaśniła, że (najn) znaczy także dziewięć, czem się wydało, że Cypka jedynaczką nie była, co nie przeszkadzało im się pobrać, i jak dotychczas bardzo szczęśliwy żywot prowadzić.

W ogóle nie zagłębiajmy się do dalszych tej sławetnej rodziny protoplastów, — boby to nas zbyt daleko zaprowadzić mogło...

W obawie tedy, aby się moim nadobnym czytelniczkom zbyt jaskrawo nie narazić, zwracam z miejsca jak najprędzej, bierzemy fakty jako takowe i dodajmy, że gdy reb Hersz zwinąwszy cheder zjechał raptem do rodzinnego miasta sławetnego Proskurowa, zastał już w piekarni innych właścicieli i na domek nowoprzybyły piekarz z Rowna miał akt kupna datowany jeszcze od nieboszczyka ojca Cypy tak, że reb Hersz nie chcąc już dłużej trudnić się belferką, do której widocznie nie miał zbytniego zamiłowania, zajmował się jako pomocnik ekspedytora przy dowożeniu towarów

*) Belferży dostawali żywność naprzemian codziennie u rodziców innego bachora.

z Proskurowa, do Kamieńca, przy tej sposobności brał na siebie i inne drobne komisy, załatwiał sprawy w sądach w Kamieńcu, jednem słowem został takim (macherem) pośrednikiem, jakich u nas niestety jest trochę za dużo, i uzyskał nawet przydomek z pewnem odznaczeniem, t. j. „Hersz der Comisionär“ Hersz Pośrednik.

Byli i tacy, którzy go nawet już tytułowali „Reb Herszełe Comisionär“.

Nic bowiem tak prędko się u nas nie zdobywa jak tytuły i zaszczyty, które rosną jak na drożdżach, tak, że mając pieniądze można przelecieć wszystkie hierarchje społeczne niemal od szamesa (szkolnik) do Galego (przewodniczący gminy).

Ale żarty na bok, przyznać należy, że z wzrastającym dobrobytem i energia rosła w naszym Herszku, zaczął też sam uczyć się rzeczy nieodzownie potrzebnych tak do handlu i procederów, jak też wogóle w życiu i społeczeństwie, interesy się poprawiały, kredyt się wzmagał, — i nie widząc dla siebie w Proskurowie żadnej przyszłości, przeniósł się do Winnicy, jako do miasta większego i słynnego ze zjazdów obywateli ziemskich z okolicy. Udało mu się tutaj kilka większych i szczęśliwych tranzakcyi, i takim sposobem w czasie stosunkowo krótkim, — bo w niespełna dziesięć lat doszedł do olbrzymiego majątku, fortuny i nazwiska.

Już w Winnicy ozdobiony przydomkiem reb Herszełe został wybrany głównym członkiem do zarządu gminy.

A gdy w roku następnym został głównym akcyonaryuszem i objął administracyę kilku cukrowni, to

i imię jego Hersz (według mniemania jego) nie licowało już ani z temi nowemi godnościami, ani z utuczoną figurką i zapuszczoną bródką a la Mierzwiński. Bez najmniejszego skrupułu żona jego przezwała go Echcio — Jochcio, a nareszcie Joachim i dotąd firmę swoją tak podpisuje...

Zkąd z Hersza wyskakuje odrazu Joachim niema się czego dziwić, skoro Doba Pesa zwie się Fany a Jenta Lieba Teodorą, to i Hersz może się Joachimem nazwać. — Zdaje się proste jak obręcz.

Pozostaje nam tylko skonstantowanie faktu przeniesienia kantoru państwa Joachimowstwa do Warszawy.

No, toć to przeniesienie chyba nikogo nie zadziwia. Podług mniemania ogólnego człowiek miljonowy może mieszkać wszędzie, gdzie mu się rzewnie podoba, i znajdzie zawsze i wszędzie na swej drodze mnóstwo ludzi wykolejonych, pozbawionych czci i godności osobistej, ludzi śmiałych, czelnych łgarzy i pieczeniarzy, których pełno w każdej stolicy, a pono i Warszawa się na brak ich nie użala, znajdzie mnóstwo idjotów, niedołęgów, próżniaków i plotkarek oraz głupców dla schlebiania ich próżności, dogodzenia zachciankom głupocie, — pysze idjotycznej, fantazyom przewrotnym i znarowionym...

Czy Joachimowstwo zebrawszy pieniądze używali takowe odpowiednio i jaka zachodzi różnica etyczna, jeśli wogóle zachodzi jaka różnica między tym nowo kreowanym domem, a życiem właściciela chederu ongi z Franciszkańskiej ulicy?...

Czy oprócz form zewnętrznych i powierzchownej ogłady, oprócz frazesów głoszonych i reklamowa-

nych w samej treści życia głębsza zaszła zmiana, czy widnieją na tle ich życia jakieś ideały podnioślejsze, które przebijają w życiu czynami bez skazy, lepszą tendencyą, czystością uobyczajenia...

Okaże się to w dalszym ciągu naszego opowiadania, gdy z treści całej nowelki nabierzemy sądu i przekonania o dążności, wewnętrznym ustroju i budowie etycznej tego domu. Jednem słowem czy to życie jest... czy maskarada?...

* * *

— Nic nie rozumiem...

— Co to znaczy? zapyta przeciętny czytelnik, zarzucając ogromną czuprynę, których teraz bynajmniej nie brak, lub pakując na nos sążnistych rozmiarów maleńkie pozłacane binokle, co to znaczy? wtóruje hałaśliwie cała falanga nowo kreowanych pseudouczonych i pseudodawców nowego tonu... to może tylko twierdzić taki nicpoń, taki nieuk jak nasz przyjaciel z Wiślicy, bo uważajcie tylko moi drodzy na te zebrania wyżej opisane, czy nie rozjaśniają, a ta powaga na zebraniu, ta wyższa dążność, te serdeczne i z takim zapałem wyrzeczone słowa Fefera, a maniery dystyngowane, sposób siedzenia, nawet zakręcenia z fantazyą małego palca przy podniesieniu herbaty do ust, czy jednem słowem wszystko od A do Z, jasno nie pokazuje, że znajdujesz się między inteligencyą i to wyższą inteligencyą...

Otóż oświadczam wszem wobec i każdemu oddzielnie, komu o tem wiedzieć należy, że mnie osobiście to ani odrobinę nie wzrusza, i nie są mi ważne

ani frazesy górnolotne, ani rozmowy rozrzewniające, ani nawet ta przelotna łza naszej nieocenionej Adeli, ani polor zewnętrzny i nawet podniesienie małego palca i wykwintne muskanie nim po powierzchni nosa, wszystko to niczego nie dokumentuje, nic nie ujawnia, i nie widać ani dążeń życia, ni treści jego.

Stanowisko i tytuły zdobytych doktoratów nie dają nam właściwie żadnych przejawów życia jego strony etycznej i właściwości jakiej indywidualnej, którą by można jakimś kolorytem oddać, zbadać lub wogóle rozbierać.

Dziwna jakaś imitacya! tylko imitacya i jakiż probierz, próba czy skalpel do określenia imitacyi i miljona gatunków, w których takowa się przejawia, oraz dziwne tło do takowych okaże się z całości naszego opowiadania...

*
*   *

Na stacyi wązkotorowej kolejki, kursującej między Belwederem, Konstancinem a Skolimowem ścisk był wielki, w tłumie eleganckiej publiki wyróżniło się dwóch pasażerów: młody człowiek względnie małego wzrostu, blondyn, pospolitych rysów twarzy z rudawemi wąsikami, nosił furażerkę na głowie, ubrany w płaszczyk modny ze zgrabnym kapturkiem w tyle podług najnowszej mody i fasonu.

Zginąłby niepostrzeżenie w tłumie mimo fantastycznego stroju, mimo lakierowanych kamaszy i zgrabnej laseczki z posrebrzaną gałką, powtarzam zginąłby w tłumie, gdyby nie towarzyszka, przy której przed kasą się zatrzymał.

Była to młoda osoba, której wiek trudno określić,średniego wzrostu, wątła, mizerna, strój zaniedbany, bez pretensyi a sposób trzymania się, wyraz twarzy, pewność siebie i pogoda oblicza wszystko w niej było tak różne od towarzysza i jego rubasznego kręcenia się wciąż, że mimowoli zwracało uwagę i innych pasażerów, którzy wciąż popychani z niecierpliwością oczekiwali w natłoku na swoją kolej.

Pasażer nasz, mówiąc nawiasowo, popchnął w trakcie tym damę z prawej strony, a gdy następnie uchylił z elegancyą furażerki mówiąc: pardon, zrzucił mimochodem kapelusz stojącemu obok sąsiadowi, który wzamian mruknął dość wyraźnie i głośno jakiś wyraz, który niedobrze słyszałem... lecz epitet ten nasz „francuz“ zdawał się lekko połknąć, prawie jak cukierek. Widocznie to często i gęsto słyszał.

W twarzy jego towarzyszki nie było widać żadnego zdziwienia, ni oburzenia, który takowy epitet powinien był wywołać. Znała widać dobrze psychologję swego towarzysza, jego otoczenia i sposób wychowania, przygotowała się zdecydowana na te ewentualności, które cierpliwie też znosiła.

Przelotny tylko wyraz cierpienia czy żalu jakby zawisł pytająco w kącikach jej ust, nadając zwykłemu uśmiechowi wyraz smętny i dziwny, wyraz jakoby politowania, skruchy czy modlitwy... pokory czy przebaczenia... Dziwna istota.

* * *

W miarę posuwania się kolejki było coraz gwarniej. Pasażerowie przywykają i zbliżają się ku sobie.

Jestto bowiem jedna z wybitniejszych własności naszych psychologicznych, że blizkość spoufala, zbliża, rozumie się, że wiele tu zależy od sfery społecznej, wychowania, sposobu myślenia i t. d.

U nas wogóle willegiatura dużo przyczynia się do zbliżenia różnych sfer społecznych, to też bynajmniej nas nie zdziwi, że nasza milcząca nieznajoma już kilka stacyi ożywioną wiodła rozmowę z niemłodym wprawdzie i zrzadka już szpakowatym jegomością, którego wieku ani wyrazu twarzy nie będziemy opisywać, gdyż i nasza pasażerka była tak zajęta tą rozmową, że i ona prawdopodobnie zapomniała, by towarzysz jej, wyżej opisany, z początku zgorszony taką serdeczną znajomością i to „in flagranti" na kolejce wązkotorowej, uważając to za uchybienie dobremu tonowi i formom salonowym zwrócił na to uwagę swej towarzyszki i to marną angielszczyzną. Nasz szpakowaty jegomość odrzekł mu dobrą i poprawną angielszczyzną, aby siedział spokojnie i nie mącił świeżego pewietrza swemi uwagami, nasunął też głębiej swą furażerkę, udawał jakby wcale nie słyszał tych uwag i zaczął rozmawiać z małym chłopczykiem, którego z początku jakoś ignorował...

Jestto prawda psychologiczna i dowiedziona, że naszych domorosłych arogantów trzeba znać, wystudjować i odpowiednio z nimi postępować, bo w przeciwnym razie stają się nieznośnymi. Istne komary!...

Wreszcie chłopczyka naszego, wielkiego psotnika i znanego urwisa w Konstancinie, czułości naszego adonisa wcale nie bawiły, zajęty był bowiem konsumowaniem czekoladek i rozwiązaniem szarady z „Mo-

jego Pisemka" i tak kolejka zawinęła do Wilanowa, kędy oczekiwał już na nią niewidomy starzec, który przygrywając na katarynce oczekuje z utęsknieniem dobrych gości, lepszej zgoła doli...

* * *

Niedaleko jednej z najbliższych stacyi od Konstancina znajduje się uczątek fabryczny „Średniaki".

Już zdaleka widać kłębiący się dym, który w chmurach znika czarnych i tworzy jakoby gęstą mgłę na całym horyzoncie... nawet zaciemnia zgęszczone wierzchołki lasów i wysoką wieżycę Skolimowską. Za to o kilka stai za tą fabryką, i wzdłuż ciągnących się kniei i małej rzeczułki, która we wdzięcznych gzygzakach całą tę okolicę przerzyna, mieści się orześliczny pałacyk a właściwie willa czyli letnia rezydencya właściciela „Średniakowa". Nie będziemy się zachwycali ani zewnętrzną strukturą, arabeskami prześlicznej rzeźby. pięknemu i bogatemu oszkleniu willi, ale zajrzymy wprost do bawialnego pokoju, gdzie między naszym znajomym z tramwaju i damą powyżej opisaną bardzo ożywiona toczy się rozmowa.

— To jednak dziwne, droga Ksawero, że jeszcze nie widać Henryka,—mówił naciągniętym tonem, trochę piskliwie nasz pasażer z tramwaju, w którym poznajemy naszego dobrego znajomego z odczytów u Bachmanów, a mianowicie: pana Józefa Mydełko; usiłował on nadać swemu głosowi giętkość i brzmienie, co się niezmiernie trudno dało osiągnąć przy chronicznym katarze krtani, a tem samem i osłabieniu klawiatury głosowej.

Obeznani fachowcy z anatomją i fizyologją krtani znają doskonale, co ta ochrypłość znaczy, ale pani Ksawera, a właściwie pani Ida Mydełko z domu Bachman, już oddawna nie zwracała uwagi na takie drobnostki, gdyż było już kilka lat po ślubie, i po szczęśliwej podróży poweselnej przywykała do bardzo wielu, a wielu niespodzianek...

To też odrzekła swobodnie:

— Chil zajęty w fabryce, w blicharni teraz więcej roboty, nowe maszyny sprowadzili, świdrowali głęboką, bardzo głęboką studnię, która jest arcydziełem techniki i hydrauliki nowszej, w tem wszystkiem Chil bardzo żywy przyjmuje udział, przy kwestyi regulacyi o mało co się nie pobił z moim bratem, gdyż on przy całej pracy jest ogromny idealista i uważa sumienie i czystość charakteru za najwyższe słowa nauki...

— Tak, tak, to wszystko bardzo ładne moja Ksawero (wymawiał to moja z ogromnym naciskiem), ale to przesada, bardzo przesada, ten Henryk, niech będzie Chil, jak gwałtownie się zwie nasz przyszły prezes zarządu, pracuje jak zwyczajny robotnik, nie mówię jak oficyalista. Przysięgał się onegdaj Bańkowski, że przy świdrowaniu studni napotkano na kamień, no i cóż ten twój Chil ni mniej ni więcej w bluzie robotniczej spuścił się na dno, na skręcenie karku, a to aby módz dokładnie sprawdzić i ocenić robotę i znaczenie studni dla interesów zarządu, no przyznasz chyba, że na to nie potrzebował kończyć na inżyniera w Karlsruhe, i to jeszcze maxime cum laude, wszak brat jego Ignacy nic nie skończył, zaj-

muje daleko lepsze stanowisko, bo jest dyrektorem we wzajemnym kredycie i ma lepszą daleko pensyę i tantjemę i większą przyszłość przed sobą.

Rzeczy takie ostatecznie możnaby powierzyć Bańkowskiemu, a Chil mógłby bez przesady żyć jak my wszyscy.

Wszak i kapitał jego również procentuje, dają znaczne dywidendy akcye, których ma przeszło na ćwierć miljona.

— Mój Józiu, podaj mi kłębek włóczki z koszyczka, tam z lewej strony na stoliku, — wymówiła młoda kobieta, jakby zmęczona tą rozmową, słyszała przytem nadbiegających dwóch ślicznych zdrowych chłopczyków, którzy jakby na kontrast kapryśnego i nerwowego wyglądu papy, wesołym śmiechem i wrzawą wpadli do pokoju.

Za nimi w pewnej odległości sztywna, ale taktownie trzymająca się nauczycielka, którą natychmiast można było poznać jako „miss“ weszłych dzieciaków. Dzieciaki z pieszczotami rzuciły się do mamy, gdy dla ojca okazywały pewną jakąś wstydliwość i nieśmiałość, co zresztą daje się tem wytłomaczyć, że bardzo rzadko bywał w domu, często wyjeżdżał zagranicę, zimową porą wracał późno z klubu, a w lecie także rzadko się pokazywał na letniem mieszkaniu, gdzie niezmiernie się nudził i siedział zwykle w mieście, co go w rodzinie robiło prawie gościem.

Ale przy jego wizytach w „Średniakowie“, którego był również współwłaścicielem, jako zięć Bachmanów, rozmawiał chętnie z naszą „miss“, korzysta-

jąc z konwersacyi językiem Albionu, którym świetnie władał, prawie lepiej jak językiem ojczystym, który w ostatnich latach zostaje niestety poniewieranym i zastąpionym francuszczyzną, angielszczyzną, a nawet i esperanto i mniej się troszczą o zrozumienie własnego języka, własnej literatury i własnych potrzeb i obowiązków dla swego społeczeństwa i dla tej gleby, która ich wyhodowała.

Wracając do naszego opowiadania musimy dodać, że Adela Tarnower była tu częstym gościem i jakkolwiek nie podzielała poglądów Idy, bawiła tutaj prawie przez całe lato, a w mieście zajmowała stanowisko buchalterki w kantorze Bachmanów.

W tym samym czasie niezwykłe zjawisko przedstawiło się oczom naszych widzów, wszyscy prawie oniemieli, dzieci struchlały, bo przez naozcież otwarte okno widać było, jak nasza Adela cała drżąca i blada pasowała się z dzikim i nieujeżdżonym rumakiem.

Rumak to rzucał się, to prostował i stawał na tylne łapy, grożąc co chwila zrzuceniem i stratowaniem swego jeźdźca...

Jeszcze sekunda, a znalazłaby się w nurtach potoku, który spokojnym korytem spływał het z wyżyny na Średniaku.

Aż tu nagle nasz młodzian odziany w zwyczajną bluzę niebieską, rzucił się jak szalony przeciw rozjuszonemu rumakowi, chwycił go żelazną dłonią za uzdę i jakoby siłą Herkulesową, którąby nikt nigdy jego wiotkiej figurze nie przypisał, osadził go na miejscu,

porwał drogi ten skarb w swe szerokie ramiona i wpół omdlałą, prawie bez przytomności, zaniósł do mieszkania, do letniej zagrody.

Tu nasza bohaterka pomału i stopniowo zdawała się przychodzić do siebie, serce zaczęło bić swobodniej, oddech i tchnienie życia wróciło, a gdy odzyskała przytomność, pierwsze spojrzenie zwróciła na swego zbawcę, na Chila i w tem spojrzeniu mieściło się wszystko. Doskonale to czuli, że już tak całe życie, dobre i złe dzielić będą, że żadne ich swary, niebezpieczeństwa i intrygi dzielić nie będą i złączeni razem pójdą solidarnie na drogę cnoty, pracy, obowiązków i uobywatelnienia.

Tutaj musimy dodać małe objaśnienie:

Kto to nie rozumie, że miłość dodaje skrzydeł, że Chil w kilka lat skończył na inżyniera, i zajmował stanowisko dyrektora w Średniakach, był bardzo lubiany przez robotników i personel biurowy i fabryczny, dla których był wzorem pracy i sprawiedliwości.

Udzielał pracownikom zasiłki i porady i w krótkim też czasie na Średniakach zakwitł dobrobyt i zadowolenie.

A gdy po kilku latach stanął przed Adelą prosząc o jej rękę, podała mu takową na życie całe, na wieki...

Niech kroczą razem dla szczęścia swego i współludzi i „szczęść Boże“ wyszło z piersi tysiąca pracowników, będzie niezawodnie wieńcem szczęścia dla ich życia i błogosławieństwem przyszłości...

A gdy stanęli w parę miesięcy przed ołtarzem w Synagodze widać było z pogody ich lic miłość

bezgraniczną w sercach i szczęście promieniało z ich twarzy a każdy szeptał:

— To są cedry Libanu!... Prawdziwe cedry Libanu.

Co się tyczy innych naszych znajomych to: Bańkowski ożenił się z Teodorą Srebrzyńską i wyprowadzili się do Zawiercia, a panna Bergfajn z panną Luksenbaum założyły sobie czytelnię, gdzie taktem swoim i doborem książek zyskują sobie coraz większą klientelę.

KONIEC.